



EDGAR ALLAN POE

---

## Złoty żuk

EDGAR ALLAN POE

## Złoty żuk

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Dawnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z Mr Wiliamem Legrandem. Pochodził on ze starodawnej, hugenockiej<sup>1</sup> rodziny i był niegdyś zamożny, lecz cały szereg niepowodzeń zubożył go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jakie stąd dlań wynikły, porzucił Nowy Orlean, gdzie znajdowało się gniazdo rodzinne jego przodków, i osiedlił się na Wyspie Sullivana koło Charleston, w Karolinie Południowej.

Wyspa ta jest nader osobliwa. Składa się wyłącznie z piasków morskich i ma około trzech mil długości. Szerokość jej nie wynosi nigdzie więcej niż ćwierć mili. Od lądu dzieli ją zaledwie dostrzegalna cieśnina, pelzająca leniwie wśród bezmiaru trzciny i namułu i stanowiąca ulubione miejsce pobytu kurek wodnych<sup>2</sup>. Roślinność jest skąpa i nikła. Drzew dorodniejszych nie widać wcale. U krańca zachodniego, gdzie wznosi się fort Moultrie i stoi kilka nędznych klitek drewnianych, zamieszkiwanych w lecie przez przybyszów z Charleston, którzy uchodzą stamtąd przed malarią i kurzem, spotyka się, co prawda, szczeniastą palmę karłowatą; natomiast całą wyspę, z wyjątkiem owego zachodniego skrawka, jako też przykryj, białawej smugi wybrzeża morskiego, pokrywają gęste chaszczki wonnego mirtu, wielce cenionego przez ogrodników angielskich. Krzew ten miewa tam często piętnaście do dwudziestu stóp<sup>3</sup> wysokości i tworzy nieprzeniknione niemal gąszcze, które przesycają powietrze swym zapachem.

W najtajemniejszym ustroniu tych zarośli, opodal od wschodniego, czyli dalszego krańca wyspy, Legrand wybudował sobie własnoręcznie niewielką chatę, którą zamieszkiwał, kiedy po raz pierwszy przypadkowo zdarzyło mi się go poznać. Znajomość ta rychło przedzierzgnęła się w przyjaźń, gdyż pustelnik ów miał niejedną zaletę, zasługującą na cześć i uznanie. Przekonałem się, że był człowiekiem dobrze wychowanym i uposażonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią<sup>4</sup> oraz podległym chorobliwym mrzonkom naprzemiennego entuzjazmu i melancholii. Miał u siebie wiele książek, ale zaglądał do nich rzadko. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo, jako też włóczęgi po wybrzeżu i wśród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów entomologicznych<sup>5</sup>; zbiorów mógł mu pozazdrościć nawet Swammerdam<sup>6</sup>. Na tych wycieczkach towarzyszył mu zazwyczaj stary Murzyn, zwany Jupiterem, który odzyskał wolność jeszcze przed niepowodzeniami rodzinnymi Legrandów, lecz którego żadną groźbą ni obietnicą nie było można skłonić do wyrzeczenia się tego, co uważał za swe prawo do czuwania nad postępkami swego młodego — jak go nazywał — Massy<sup>7</sup> Willa. Być może, iż krewni Legranda, uważając go za człowieka o chwiejnym umyśle, postarali się utwierdzić w tym uporze Jupitera, mając nadzieję, że będzie on towarzyszem i opiekunem tułacza.

Pod szerokością geograficzną Wyspy Sullivana zimy ostrzejsze należą do rzadkości i nieczęsto się zdarza, by pod koniec roku trzeba było zapalać ogień. Mimo to około połowy października 18.. nastął dzień nadzwyczaj chłodny. Na krótko przed zachodem słońca

<sup>1</sup>*hugenoci* — protestanci francuscy w XVI i XVII w., wyznawcy kalwinizmu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*kurka wodna* — średniej wielkości ptak wodny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*stopa* — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*entomologia* — nauka o owadach. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Swammerdam, Jan* (1637–1680) — holenderski przyrodnik, badacz budowy anatomicznej i cyklu rozwojowego owadów. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*massa* — zniekształcony angielski wyraz *master*: pan; forma używana w afroamerykańskiej odmianie języka angielskiego w epoce niewolnictwa. [przypis edytorski]

torowałem sobie drogę przez wiecznie zielone chaszczki do chaty mojego przyjaciela, którego nie widziałem już od kilku tygodni, mieszałem bowiem podówczas w Charleston o jakieś dziewięć mil<sup>8</sup> od wyspy, a ułatwienia w podróży tam i z powrotem bynajmniej nie dorównywały jeszcze dzisiejszym. Stanąwszy przed chatą, zastukałem swym zwyczajem, a nie otrzymawszy odpowiedzi, poszukałem klucza w wiadomej mi skrytce, otworzyłem drzwi i wszedłem do wnętrza. Na kominie rozkosznie płonął ogień. Była to niespodzianka — i trzeba przyznać, że nader miła. Zdjąłem płaszcz, przysunąłem sobie krzesło do trzaskających głowni i czekałem cierpliwie powrotu mych gospodarzy.

Pojawili się o zmierzchu i powitali mnie bardzo serdecznie. Jupiter, szczerząc zęby od ucha do ucha, zakrzętnął się około przygotowania kurek wodnych na wieczerzę. Legrand był znów w przystępie — gdyż nie wiem jak to inaczej nazwać — entuzjazmu. Znalazł nieznanego skorupiaka przedstawiającego nową odmianę, i co więcej, schwycił przy pomocy Jupitera jakiegoś żuka, który wedle niego był zupełną nowością, lecz co do którego pragnął jeszcze zasięgnąć nazajutrz mojego zdania.

— Czemuż nie dzisiaj? — spytałem, zacierając ręce nad ogniem i cały gatunek żuków posyłając w duchu do diabła.

— Ach, gdybym był wiedział, że przyjdiesz! — odparł Legrand. — Lecz nie widziałem cię już tak dawno; jakże mogłem przypuszczać, że mnie odwiedzisz właśnie dzisiejszego wieczora? Idąc z powrotem, spotkałem po drodze porucznika G. z fortu i zrobiłem to głupstwo, że pożyczyłem mu chrząszcza do obejrzenia; nie możesz go zatem wcześniej zobaczyć aż jutro rano. Przenocuj dziś u mnie, a o świcie Jup pójdzie po niego. To istne czarodziejstwo!

— Co? Świt?

— Nie pleć! Żuk. Lśni cały jak złoto, jest wielkości dużego orzecha, ma dwie ogromnie czarne plamki po jednej stronie odwłoku i trzecią, nieco większą, po drugiej. Czułki są...

— On nie ma nijakich czulek, massa Will, idę o zakład — przerwał Jupiter — ten chrząszcz to złoty chrząszcz: on cały ze szczerzego złota i w środku, i wszędzie oprócz skrzydeł. Jeszczem w życiu nie widział takiego ciężkiego chrząszcza.

— Zgoda, przypuścmy, że tak jest istotnie, Jup — odrzekł Legrand, jak mi się zdawało, nieco poważniej niż tego wymagały okoliczności — ale czy dlatego masz przypalić nasze kurki? Barwa — mówił dalej, zwracając się do mnie — przemawia rzeczywiście do pewnego stopnia za przypuszczeniem Jupitera. Nie zdarzy ci się chyba widzieć świetniej metalicznego połysku niżli na okrywkach tego owada, lecz będziesz mógł i o tym sądzić dopiero jutro. Tymczasem chciałbym ci dać wyobrażenie o jego kształcie. — Z tymi słowy usiadł przy małym stoliku, na którym znajdował się atrament i pióro, lecz nie było papieru. Sięgnął po niego do szuflady, ale i tam nic nie znalazł.

— Co tam — rzekł w końcu — to wystarczy. — Wyjął z kieszonki od kamizelki jakiś świstek, który wydał mi się nadzwyczaj brudnym kawałkiem papieru welinowego<sup>9</sup> i piórem naszkicował rysunek. Kiedy to się działo, nie ruszałem się z miejsca, bo wciąż jeszcze było mi chłodno. Ukończywszy rysunek, podał mi go, nie powstając z krzesła. Miałem już szkic w ręku, gdy rozległo się głośnie skomlenie i coś zachrobotało za drzwiami. Jupiter otworzył je i do izby wpadł wielki nowofundlandczyk będący własnością Legranda; wsparł się łapami na mych ramionach i nie szczędził mi pieszczot, wywzajemniając się za pieczołowitość, jakiej już niejednokrotnie doznawał poprzednio ode mnie. Gdy przestał się łaścić, spojrzałem na papier i prawdę mówiąc byłem nieco zakłopotany dziwołagiem mojego przyjaciela.

— Hm — rzekłem po kilku minutach — trzeba przyznać, że ten żuk istotnie jest niezwykle i stanowi dla mnie nowość; nie widziałem jeszcze niczego podobnego, chyba że byłaby to czaszka lub trupia głowa, którą bodaj przypomina najwięcej z widywanych przeze mnie przedmiotów.

<sup>8</sup>*mila* — dawna miara odległości o różnej wartości, w krajach anglosaskich mila lądowa wynosi ok. 1600 m. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*welin* — luksusowy papier, cienki i gładki a. skóra cielęca, dokładnie wyprawiona, używana dawniej do pisania lub druku. [przypis edytorski]

— Co, trupia głowa? — zapytał Legrand. — Ach, tak, tak, bez wątpienia; jest niejkie podobieństwo na papierze. Dwie górne czarne plamki wyglądają jak oczy, nieprawdaż? A ta podłużna na odwłoku niby pyszczek? Przy tym kształt całości jest owalny.

— Być może — odparłem — ale coś mi się zdaje, że nieszczególnym jesteś artystą, poczekam, aż zobaczę tego owada na własne oczy i sam powezmę wyobrażenie o jego wyglądzie.

— Zgoda, choć nie wiem... — rzekł z lekką urazą w głosie — rysuję znośnie lub przy najmniej powinien bym, miałem niezłych nauczycieli i pochlebiam sobie, że nie jestem w ciemię bity.

— Ależ, moj drogi, ty chyba żartujesz — odezwałem się — to wcale poprawna czaszka, powiedziałbym nawet, doskonale naszkicowana czaszka, jeśli zgodzimy się na poglądy obowiązujące powszechnie w osteologii<sup>10</sup>, a twój żuk musi być najosobliwszym żukiem na świecie, skoro jest do niej podobny. Można by na karb jego złożyć jakąś zabobonną okropność. Myślę, że nazwiesz tego chrząszcza *Scarabeus caput hominis*<sup>11</sup> lub dasz mu inną zbliżoną nazwę, zwłaszcza że podobne miana spotyka się często w naukach przyrodniczych. Ale gdzie są czułki, o których mówiłeś?

— Czułki! — zachnął się Legrand, który, jak mi się zdawało, zapalił się niepomiernie do przedmiotu naszej rozmowy. — Musisz je widzieć, tego jestem pewny! Narysowałem je najdokładniej wedle oryginału i myślę, że to wystarczy.

— Nie przeczę, nie przeczę — powiedziałem — być może, iż narysowałeś, ale ja ich nie widzę — i wręczyłem mu papier, nie dodając już ani słowa, by nie podniecać jego rozdrażnienia; wszelako byłem niemało zdziwiony tym obrotem rzeczy. Jego zły humor wprawił mnie w zakłopotanie — co zaś do rysunku chrząszcza, czulków na pewno nie było widać, a całość okazywała nadzwyczajne podobieństwo do zwykłych kształtów trupiej głowy.

Sięgnął po papier bardzo niechętnie i już miał go zmiąć, chcąc zapewne rzucić w ogień, gdy przypadkowy rzut oka na rysunek przykuł nagle, jak mi się zdawało, całą jego uwagę. Poczerwieniał zrazu na twarzy, po czym przybladł mocno. Przez kilka minut, nie ruszając się z miejsca, badał szczegółowo rysunek. W końcu wstał, wziął świecę ze stołu i odszedłszy opodal, usiadł na skrzyni, w najdalszym kącie izby. Tu znowu jął oglądać drobiazgowo papier, obracając go na wszystkie strony. Wszelako ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie wyrzekł ani słowa; zdawało mi się przeto, iż będzie najrozsądniej nie robić żadnych uwag i nie powiększać wzmagającego się rozstroju jego usposobienia. Ostatecznie wyjął z kieszeni portfel, włożył do niego starannie papier i schował do biurka, które zamknął na klucz. Znać było po nim niejkie uspokojenie, ale poprzedni jego zapal znikł doszczętnie. Mimo to wydawał mi się nie tyle zaszępiiony, co roztargniony. Z biegiem wieczoru coraz bardziej pograżał się w zadumie i nie dawał się z niej wyprowadzić żartami. Poprzednio miałem zamiar przenocować w chacie, jak to czyniłem już niejednokrotnie, ale widząc roztargnienie mojego gospodarza, uważałem za stosowne pożegnać się z nim. Nie nalegał wcale, bym pozostał, lecz na pożegnanie uścisnął mnie serdeczniej niż zwykle.

W jakiś miesiąc później (a przez cały ten czas nie miałem zgoła wieści od Legranda) odwiedził mnie w Charleston jego służący, Jupiter. Nie widziałem przedtem nigdy poczciwego, starego Murzyna w podobnym przygnębieniu i jąłem się obawiać, czy mojego przyjaciela nie spotkało jakieś wielkie nieszczęście.

— No cóż, Jup! — zagadnąłem. — Co tam słyhać nowego? Co porabia twój pan?

— Żeby prawdę powiedzieć, massa, nie wie dzie mu się tak dobrze, jakby powinno.

— Niedobrze! Co ty mówisz? To mnie martwi. Cóż mu dolega?

— Otóż to! Nie skarży się na nic, ale jest bardzo chory.

— Bardzo chory, Jup! A czemużes tego nie powiedział od razu? Czy leży w łóżku?

— Ej, nie! Z nim nigdzie nie jest dobrze — i tu właśnie jest sęk — bardzo mi ciężko na duszy, bo mnie smuci massa Will.

— Słuchaj no, Jup, chciałbym coś zrozumieć z tego, co mi pleciesz. Więc powiadasz, że twój pan niezdrów? Czy ci nie mówił, co go boli?

<sup>10</sup>*osteologia* — część anatomii obejmująca naukę o kościach. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Scarabeus caput hominis* (lac.) — skarabeusz głowa ludzka. [przypis edytorski]

— Ej, massa, nie warto łać sobie nad tym głowy. Massa Will mówi, że mu nic nie jest, ale dlaczego łaż z kąta w kąt zamyślony, zgarbiony, ze spuszczoną głową i blade jak gęś? A potem, dlaczego robi cięgiem te kulasy?

— Co robi, Jupiter?

— No, takie kulasy i figury na tabliczce — jeszcze takich figur nie widział. Aż skóra cierpnie na mnie, mówię panu. Nie mogę ani na chwilę spuścić go z oka. Onegdaj<sup>12</sup> wymknął mi się przed wschodem słońca i poszedł gdzieś i nie było go przez cały święty dzionek. Jużem był sobie wyciął tęgi kij, żeby wygnać z niego te diabły, kiedy przyjdzie, ale był taki osioł, że mi nie stało<sup>13</sup> kurażu<sup>14</sup>... tak źle, biedactwo, wyglądał!

— Co ty mówisz, naprawdę? Koniec końcem mnie się zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósłby tego. Ale czy nie przychodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiejś przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

— Nie, massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedy massa był u nas.

— Co takiego? Co ci się zdaje?

— No, tak, massa, myślę, że to ten chrząszcz.

— Co znowu?

— Ten chrząszcz. Jestem przekonany, że mego Willa ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.

— Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

— Bo ma dosyć kleszczy, massa, a i pysk niezgorszy. Jeszcze w życiu nie widział takiego diabelskiego robaka — łapie i gryzie wszystko, co mu się nawinie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daję... i to wtedy pewnikiem go ugryzł. Mnie się jakoś od razu nie podobał ten chrząszcz i jego pysk, toteż nie sięgnąłem po niego palcami, ale znalazł kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek tego papieru do pyska — takem to zrobił!

— Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

— Ja nic nie myślę — gdzieby tam! Ino dlaczego śni mu się cięgiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach.

— Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

— Skąd ja wiem? Bo cięgiem przez sen o nim gada — stąd wiem.

— Hm, Jup, być może, iż masz słusność, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

— He, co massa gada?

— Czy masz jakie wieści od Mr Legranda?

— Nie, massa, przyniosłem ino ten kwitek — tu Jupiter podał mi list, który brzmiał, jak następuje:

„Mój Drogi!

Dlaczego już od dawna do mnie nie zaglądasz? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąś tam przymówkę — nie, to niepodobna.

Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu tymczasem przeżywam ciężką rozterkę. Miałbym coś do opowiedzenia, lecz doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć i czy w ogóle powiedzieć.

Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina Jup nudzi mnie nieznośnie swą poczciwą troskliwością. Czy byś uwierzył? Kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przewałęsałem samotnie cały dzień wśród wzgórz, na lądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ujść cięgów.

Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów.

<sup>12</sup>onegdaj (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>nie stało (daw.) — nie starczyło; zabrakło. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>kuraż (daw.) — odwaga, śmiałość. [przypis edytorski]

Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt niedogodne. Przyjdźże! Chciałbym widzieć się z tobą dzisiejszego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam cię, że to sprawa nadzwyczaj ważna.

Szczerze ci oddany  
William Legrand”

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się tak bardzo od stylu Legranda. Co mu się roilo? Jaki nowy bzik załął się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiej to „nadzwyczaj ważnej sprawy” miał zamiar przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jąłem się obawiać, czy nieustanny ucisk niedoli nie wykoleił w końcu umysłu mojego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili, wybrałem się w drogę z nieodstępnym Murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

— Co to wszystko znaczy, Jup? — zagadnąłem.

— To kosa, massa, i łopaty.

— Wiem, ale skąd one tu się wzięły?

— Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty, i diablo dużo to kosztowało.

— Lecz, na wszystkie tajemnice, co ten twój massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?

— Niby to ja wiem wszystko? I niech mnie diabli wezmą, jeśli on wie więcej ode mnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dokoła „chrząszcza”, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk; rychło zawiñliśmy do niewielkiej zatoki na północ od fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty oddalonej o niespełna dwie mile. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy jarzyły się niezwykłym blaskiem. Najpierw zapytałem go o zdrowie, po czym, nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od porucznika G.

— O, tak — odparł, mieniając się na twarzy — otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz, że Jupiter co do niego miał zupełną słuszność?

— Jak to? — zapytałem, pełen smutnych przeczuć.

— Bo przypuszczał, że ten chrząszcz jest szczerozłoty! — Powiedział to z głębokim przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

— Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście — mówił dalej z triumfującym uśmiechem — i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenisz? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynieś mi tego żuka!

— Co, żuka, massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go massa sam weźmie.

Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny skarabeusz, podówczas nieznanym jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną naukową wartość. Miał dwie czarne cętki po jednej stronie odwłoku, a trzecią podłużną po drugiej. Okrywy jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny, biorąc przeto wszystko pod uwagę, trudno było mieć za złe Jupiterowi jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym być podówczas pojąć, jak Legrand mógł godzić się na nie.

— Posłałem po ciebie — odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza — posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy poczniesz się iść z żądaniem Przeznaczenia i żuka...

— Mój drogi — przerwałem — tyś zapewne niezdrów i powinien byś mieć się nieco na bacności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

— Zbadajże mi tętno — odpowiedział.

Wzięłem go za rękę i prawdę mówiąc nie wyczuwałem najmniejszych oznak gorączki.

— Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się tobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

— Mylisz się — wtrącił. — Czuję się o wiele lepiej, niżli można by wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w nim!

— A jakże tego dokonać?

— Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupiterem na wyprawę wśród wzgórz, na starym łądzie, i potrzebuję do pomocy kogoś, na kim można by polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Podniecenie, które u mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy triumf.

— Dopomogę ci chętnie we wszystkim — odrzekłem — ale czy twoim zdaniem ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

— Oczywiście.

— W takim razie nie mogę wziąć udziału w tym nedorzecznym przedsięwzięciu.

— Przykro mi, bardzo mi przykro! Zatem będziemy musieli próbować sami.

— Co... sami? Czyś ty istotnie oszalał? Zaczekaj no! Na jak długo się wybierasz?

— Prawdopodobnie na całą noc. Wyruszymy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

— A kiedy ta twoja chimera<sup>15</sup> minie i kiedy ta zabawa z chrząszczem (mój ty Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jak gdybym był twoim lekarzem?

— Zgoda, przyrzekam, a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

Z ciężkim sercem podążyłem za mym przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej — Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by któreś z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był po prostu w psim usposobieniu i poza słowami „ten diabelski chrząszcz” nie powiedział nic przez całą drogę. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki<sup>16</sup>, natomiast Legrand zadowolił się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrząsał nim, idąc z miną spisowca. Patrząc na ten oczywisty dowód odchylenia umysłowego u mojego przyjaciela, zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, które cisnęły mi się do oczu. Zdawało mi się jednakże, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobrażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze, nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremnie usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało się mu wymóc na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie moje zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz: „zobaczymy”. Przeprawiliśmy się czółnem u przylądka wyspy na wybrzeże stałego łądu i pnąc się wciąż w górę, w kierunku północno-zachodnim, szliśmy przez okolicę nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie posępniejsze od okolic, które pozostały za nami. Był to jakby płaskowyż położony u szczytu niedostępnego niemal wiszaru<sup>17</sup>, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnymi złomami, które zdawały się leżeć luźno na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się w dół jedynie dlatego, że stały oparte o drzewa. Głębokie jary przebiegające w różnych kierunkach przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczystej głuszy.

<sup>15</sup>chimera — tu: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>ślepa latarka — latarka z ruchomą przesłoną, ukierunkowującą światło. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>wiszar (daw.) — urwisko. [przypis edytorski]

Wyżynę, na którą wspięliśmy się w końcu, porastały tak gęsto chaszczce jeżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utorujemy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, który wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziesięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, pięknem ulistnienia i kształtu, rozłożystości konarów oraz okazałości wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Leyrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi wejść na nie. Stary Murzyn zawahał się nieco na to pytanie i początkowo nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go z wolna wokoło i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończywszy swe badania, rzekł krótko:

— Jużcić, massa, nie ma takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

— Zatem włącz co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.

— Jak wysoko trzeba wleźć, massa? — zagadnął Jupiter.

— Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którędy masz wspinać się dalej. Zaczekaj no jeszcze! Weź ze sobą chrząszcza!

— Chrząszcza, massa Will? Żółtego chrząszcza? — zawołał Murzyn, cofając się lekliwie. — Po cóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

— Co, Jup, ty, taki wielki, silny Murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka, którego można ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwałę ci leb tą łopata!

— Co też massa gada! — odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. — Massa musi zawsze gderać na starego Murzyna! To był tylko żart! Ja bym bał się chrząszcza? Ja kpię z niego! — z tymi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie, począł wspinać się na drzewo.

Tulipanowiec, czyli *Liriodendron tulipiferum*, jest najwspanialszym drzewem borów amerykańskich. Za młodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości. Ale z latami kora staje się sękata i chropawa, i na pniu pojawia się mnóstwo krótkich gałązek. Trudność zatem wejścia na to drzewo była raczej pozorna niż rzeczywista. Obejmując możliwie mocno ramionami i kolanami potężny trzon drzewny, czepiając się rękami sęków i wpijając swe bosc stopy w zagłębienia, Jupiter piał się w górę i narażając się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo upadku, wśliznął się w końcu w pierwsze wielkie rozwidlenie, gdzie, jak się zdawało, uznał swe dzieło za skończone. Jakoż wszelkie trudności istotnie były już pokonane, jakkolwiek Murzyn zawisł na wysokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi.

— Którędy leżć teraz, massa Will? — zapytał.

— Wspinaj się po najgrubszym konarze z tej strony pnia! — rzekł Legrand.

Murzyn usłuchał go chętnie i bez żadnego już wysiłku pelzał coraz wyżej, aż w końcu krzepka jego postać znikła zupełnie wśród gęstego listowia. Głos jego dolatywał z wysoka niby nawoływanie:

— Czy leżć jeszcze wyżej?

— A gdzież ty jesteś? — zapytał Legrand.

— Tak wysoko — odrzekł Murzyn — że widzę już niebo przez wierzchołek drzewa.

— To nie chodzi o niebo, ale o to, co ci powiem! Spójrz w dół na pień i policz konary pod sobą po tej stronie. Ile masz konarów pod sobą?

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć — mam już pod sobą pięć grubych konarów, massa, po tej stronie.

— Zatem wleź jeszcze o jeden konar wyżej.

Po chwili głos zawiadomił, że Jupiter dotarł już do siódmego konara.

— No, a teraz, Jup — krzyknął Legrand z niehamowanym już uniesieniem — posuwaj się po tej gałęzi tak daleko, jak tylko możesz. A gdy zobaczysz coś niezwykłego, daj mi znać!

Jeśli miałem dotychczas jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do stanu umysłowego mego biednego przyjaciela, to w tej chwili pierzchyły one zupełnie. Z konieczności trzeba było go uznać za obłąkanego i już naprawdę niepokoiłem się myślą, w jaki sposób od-



prowadzę go do domu. Kiedy rozmyślałem, jak należy postąpić, głos Jupitera rozległ się znowu:

— Boję się leżeć za daleko po tej gałęzi, prawie cała uschnięta!

— Powiadasz, że ta gałąź jest uschnięta, Jup? — zawołał Legrand drżącym głosem.

— Tak jest, massa, sucha jest jak pieprz — całkiem na pewno, nie ma w niej ani krzty życia.

— Na miłość boską, co teraz począć? — zapytał Legrand, upadając widocznie na duchu.

— Pytasz, co począć? — podchwyciłem korzystając ze sposobności, bym mógł wreszcie zabrać głos w tej sprawie. — Pójdź do domu i połóż się do łóżka! Chodźże! Bądź grzeczny, mój drogi! Pora już późna, a przy tym chciej pamiętać o swej obietnicy.

— Jup! — krzyknął, nie zwracając zgoła na mnie uwagi — słyszysz mnie?

— Tak jest, massa, słyszę doskonale.

— Zatinij tę gałąź nożem i zobacz, czy drzewo już bardzo spróchniało?

— Spróchniało, massa, dość spróchniało — odparł Murzyn po chwili — ale trzyma się lepiej, niż myślałem. Mógłbym jeszcze poleżeć trochę dalej po tej gałęzi, ale sam.

— Sam! Co to znaczy?

— Bo mam chrząszcza. To bardzo ciężki chrząszcz! Gdybym go cisnął na dół, to pewno ta gałąź nie ułamałaby się pod takim jak ja Murzynem.

— Ty diabli synu! — krzyknął Legrand z widoczną ulgą. — Co ty mi pleciesz? Spróbuj tylko rzucić chrząszcza, a dostaniesz ode mnie po łbie. Hej, Jup! Czy mnie słyszysz?

— Juźcić! Massa znów gdera na biednego Murzyna.

— Nie pleć i słuchaj! Posuń się po tej gałęzi, jak daleko będzie można, i nie upuść przy tym chrząszcza, a dam ci srebrnego dolara, gdy zejdziesz na dół.

— Dobrze, massa Will! Ja nie od tego — odrzekł Murzyn ochoczo — zaraz będę na końcu.

— Na końcu! — odezwał się żałośnie Legrand. — Czy jesteś już na końcu gałęzi?

— Zaraz będę, massa... Oooch! Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! Co to takiego na tym drzewie?

— Aha! — odkrzyknął Legrand rozradowany. — Cóż tam takiego?

— Ej! Co by tam jak nie czaszka! Ktoś zostawił głowę na tym drzewie, a kruki obskubały ją z mięsa.

— Czaszka, mówisz? Doskonale! Jak jest przytwierdzona do gałęzi? Co ją przytrzymuje?

— Juźcić trzyma się dobrze. Zaraz zobaczę. A to ci dziwo, daję słowo! W czasie tkwi wielki gwóźdź, którym jest przybita do drzewa.

— Bardzo dobrze, Jup! Zrób dokładnie, co ci każe. Słyszysz mnie?

— Tak jest massa.

— No, to uważaj! Poszukaj lewego oka u tej czaszki.

— Hm, to dobre! Ale ona nie ma lewego oka.

— Bodaj cię lichy wzięło z twoją głupotą! Czy wiesz, która jest twoja prawa ręka, a która lewa?

— Juźcić, że wiem, ja wszystko wiem. Moja lewa ręka to ta, którą łupię drzewo.

— Dobrze mówisz, bo jesteś mańkut; otóż twe lewe oko jest po tej samej stronie, co twa lewa ręka. A teraz myślę, że potrafisz znaleźć lewe oko u tej czaszki albo też miejsce, gdzie ono kiedyś musiało być. Czy znalazłeś?

Nastąpiło długie milczenie. W końcu Murzyn zapytał:

— Czy lewe oko tej czaszki jest po tej samej stronie, co lewa ręka tej czaszki? Cóż, kiedy ta czaszka nie ma wcale rąk — ani jej się śni! Ale to nie szkodzi! — Mam już lewe oko, dalibóg, mam! A teraz co z nim zrobić?

— Przesuń przez nie chrząszcza i spuszcza go na sznurku w dół aż do samego końca. Tylko pamiętaj, żebyś nie wypuścił sznurka z ręki!

— Jużem gotów, massa Will! To nie sztuka puścić chrząszcza przez dziurę — zaraz go massa zobaczy.

Jupitera podczas tej rozmowy wcale nie było widać, natomiast spuszczały przezeń w dół owad ukazał się po chwili na końcu sznurka i niby bryłka polerowanego złota

zamigotał w pierzchającej jaśni zachodzącego słońca, które nikłymi promieniami rozwidniało jeszcze okoliczną wyżynę. Żuk zawisł wolno wśród gałęzi i gdyby był miał spaść, byłby upadł tuż u naszych stóp. Legrand pochwylił kosę i wytrzebił nią kolistą przestrzeń o średnicy do czterech jardów<sup>18</sup>, tuż poniżej owada. Po czym, dokonawszy tej pracy, kazał Jupiterowi puścić z ręki sznurek i zejść z drzewa.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie upadł chrząszcz, mój przyjaciel wbił w ziemię drewniany kołek i wyjął z kieszeni taśmę mierniczą. Przytwierdziwszy jeden jej koniec do pnia tulipanowca w miejscu, skąd było najbliżej do kołka, jął ją rozwijać, aż dosięgnęła kołka i rozwijał dalej w kierunku wytyczonym przez pień drzewa i kołek, na odległość piętnastu stóp. Jupiter zaś tymczasem wycinał krzewy kosą. Osiągnąwszy ten najdalszy punkt, wbił tam drugi kołek i posługując się nim jako środkiem opisał dokoła niego pobieżnie koło, którego średnica miała mniej więcej cztery stopy długości. Następnie Legrand ujął jedną łopatę, podał drugą Jupiterowi, a trzecią mnie i prosił nas, byśmy zabrali się skrzętnie do kopania.

Wyznąę szczerze, iż nie czulem nigdy nadzwyczajnego zamilowania do podobnych rozrywek i właśnie wtedy byłbym najchętniej wymówił się od tej pracy, gdyż zapadała noc i dolegało mi już znużenie po przebytych trudach; ale nie wiedziałem, do jakich uciec się pozorów, a przy tym obawiałem się, by odmowa nie wytrąciła znów z równowagi mego biednego przyjaciela. Gdybym był wiedział, że mogę liczyć na pomoc Jupitera, nie wahałbym się ani chwili i przemocą byłbym zabrał szaleńca do domu; zbyt jednak dobrze znałem charakter Murzyna i musiałem wyrzec się nadziei, by kiedykolwiek stanął po mej stronie w zatargu ze swym panem. Nie wątpiłem, że Legrand dał się opętać zabobnym wierzeniom, które krążą na Południu<sup>19</sup> o zakopanych skarbach, i że utwierdził się w tych mrzonkach, znalazłszy żuka, lub też może uległ wpływowi Jupitera, który uporczywie utrzymywał, że „ten chrząszcz jest ze szczerzego złota”. Umysł skłonny do obłędu łatwo poddaje się podobnym podszeptom, zwłaszcza jeżeli schlebiają one wprzód powziętym, ulubionym ideom. Ponadto przyszło mi na myśl, co ten nieszczęśnik powiedział o żuku, iż „wskaże mu drogę do fortuny”. Słowem, byłem ogromnie zakłopotany i udręczony, lecz ostatecznie postanowiłem z konieczności uczynić cnotę i zabrałem się ochoczo do kopania, by tym rychlej przekonać naocznie szaleńca o płonności jego urojeń.

Zapaliliśmy latarnie i jeliśmy się pracy z gorliwością godną rozsądniejszego celu; kiedy zaś na naszych osobach i narzędziach zamigotało światło, nie mogłem oprzeć się myśli, że tworzymy nadzwyczaj malowniczą grupę i że przygodnemu wędrowcowi, który by nas przypadkiem dostrzegł, zajęcie nasze wydałoby się zapewne nader podejrzane i dziwne.

Kopaliśmy wytrwale ze dwie godziny. Mówiliśmy niewiele, a najwięcej naprzykrzało się nam ujadanie psa, który z niesłychanym zajęciem śledził przebieg naszej pracy. Stał się w końcu do tego stopnia hałaśliwy, iż zlekliśmy się, by nie obudził czujności okolicznych włóczęgów. Takie przynajmniej były obawy Legranda, bowiem dla mnie wszelkie zamieszanie byłoby wówczas bardzo pożądane, gdyż pozwoliłoby mi doprowadzić mego niepoczytalnego przyjaciela do domu. Ujadanie to poskromił w końcu nader skutecznie Jupiter, który z diabelnie stanowczą miną wyskoczył z jamy, zawiązał psu pysk swą szelką i z pełnym godności uśmiechem zabrał się znowu do roboty.

Po upływie oznaczonego czasu wkopaliśmy się w ziemię do głębokości pięciu stóp, lecz skarbów nie było ani śladu. Nastąpiła dłuższa przerwa i już począłem radować się nadzieją, że cała ta krotchwila<sup>20</sup> ma się wreszcie ku końcowi. Jednak Legrand, jakkolwiek widocznie przygnębiony, otarł w zamyśleniu czoło i jął się pracy na nowo. Cały okrąg o średnicy czterech stóp był już rozkopany; poszerzyliśmy go zatem z wolna i pogłęбилиśmy jeszcze na dwie stopy. Nic jednak nie znaleźliśmy. W końcu szukający skarbów marzyciel, którego było mi serdecznie żal, z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy wygramolił się z jamy i począł opieszale wdziwać na siebie zdjętą poprzednio kurtkę. Nie rzekłem na to ani słowa. Jupiter na znak swego pana rozbierał narzędzia. Gdy to się stało, zdjęliśmy psu więzy z pyska i w głębokim milczeniu szliśmy ku domowi.

<sup>18</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Południe — mowa o południowych połaciach Stanów Zjednoczonych. [przypis tłumacza]

<sup>20</sup>krotchwila (daw.) — żart, zabawa. [przypis edytorski]

Nie odeszliśmy wszakże dalej niż na jakieś dwanaście kroków, gdy Legrand z głośnym przekleństwem rzucił się na Jupitera i porwał go za kołnierz. Oslupiały Murzyn wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, upuścił łopaty i padł na kolana.

— Ty, hultaju! — krzyczał Legrand przez zaciśnięte zęby. — Ty diabelski powsinogo! Mów, odpowiedz mi natychmiast bez wykrętów, które... które jest tve lewe oko?

— Och, mój złoty massa Will! Toć to jest na pewno moje lewe oko! — zaskrzeczał przerażony Jupiter, kładąc rękę na swym prawym narzędzie wzroku i przyciskając ją z rozpaczliwą zawziętością, jak gdyby się obawiał, że jego pan wydrze mu to oko.

— Tak też sobie myślałem! To od razu przyszło mi do głowy! Hurra! — darł się Legrand, puszczając Murzyna i wykonując jakieś łamańce i skoki ku zdumieniu swego służącego, który podźwignąwszy się z ziemi, wodził kolejno oczyma od swego pana do mnie, to znów ode mnie do swego pana.

— Chodź! Wracajmy! — odezwał się tenże. — Jeszcze nie po wszystkim! — i poprowadził nas znowu w stronę tulipanowca.

— Jup! — zawołał, gdyśmy stanęli pod drzewem. — Chodź no tutaj! Czy ta czaszka jest zwrócona twarzą ku górze, czy też twarzą ku gałęzi?

— Twarz była zwrócona ku górze, massa, dlatego kruki mogły z łatwością wydziobać jej oczy.

— No, dobrze; a przez które oko przesunąłeś chrząszcza, przez to czy przez to? — pytał Legrand, dotykając na przemian oczu Murzyna.

— Przez to, massa, przez lewe oko, jak massa rozkazał — tłumaczył się służący, wskazując wciąż swe prawe oko.

— Zobaczmy! Spróbujmy jeszcze raz!

Z tymi słowy mój przyjaciel, w którego szaleństwie jałem teraz, jak mi się przynajmniej zdawało, dostrzegać niejakię oznaki celowości, wyjął z ziemi kołek tkwiący na miejscu, gdzie upadł chrząszcz, i przesunął go o trzy cale<sup>21</sup> dalej ku zachodowi. Następnie przeciągnął taśmę mierniczą od najbliższego punktu pnia do tego kolka, podobnie jak poprzednio, i poprowadził ją dalej w linii prostej na odległość piętnastu stóp; w ten sposób znalazł punkt oddalony o kilka jardów od miejsca, gdzie kopaliśmy poprzednio.

Dokoła tego nowego środka opisał koło, nieco większe od dawniejszego, i znowu zabraliśmy się do łopat. Znużony byłem niewymownie, lecz w moim umyśle, nie wiadomo dlaczego, dokonała się zmiana i nie odczuwałem już nazbyt wielkiej odrazy do tej narzuconej mi pracy. Zaciekawilem się nią niesłychanie, co więcej, zapaliłem się do niej. Być może, iż w chimerycznym zachowaniu się Legranda taił się jakiś zamysł czy zamierzenie, które mu poddałem się poniewolnie. Kopalem skrzętnie i od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, iż z uczuciem bardzo podobnym do oczekiwania poszukuję oto urojonego skarbu, którego wizja opętała mego nieszczęsnego towarzysza. Minęło blisko półtorej godziny i moje myśli jęły właśnie wałęsać się wśród mglistych rozmarzeń, kiedy ponownie przerwało nam pracę donośne naszczekiwanie psa. Jego niepokój, który za pierwszym razem był po prostu objawem rozchucia czy rozbawienia, stał się teraz przykrzejszy i poważniejszy. Kiedy Jupiter chciał mu znowu nałożyć kaganiec, opierał się ze wszystkich sił i wskoczywszy do jamy, darł zapamiętałe ziemię łapami. W okamgnieniu wygrzebał mnóstwo ludzkich kości, tworzących dwa całkowite szkielety, wśród których znaleźliśmy kilka metalowych guzików oraz coś, co wydawało się nam jakby resztkami zetłonej wełny. Za jednym zamachem łopaty wydobyliśmy brzeszczot wielkiego hiszpańskiego noża, a potem dokopaliśmy się jeszcze trzech czy czterech złotych i srebrnych monet, luźno leżących w ziemi.

Na ich widok radość Jupitera nie miała granic, ale z oblicza jego pana nie schodził wyraz gorzkiego rozczarowania. Mimo to przynaglał nas do pracy, lecz zaledwie dokończył swych słów, kiedy potknąłem się i upadłem przed siebie, zaczepiwszy końcem buta o wielki żelazny pierścień, który tkwił jeszcze na poły w mialkim piasku.

Pracowaliśmy tedy<sup>22</sup> dalej ze zdwojoną gorliwością i nie zdarzyło mi się odtąd przeżyć drugich dziesięciu minut równie potężnego uniesienia. Wnet zdążyliśmy odwalić ziemię z podłużnej, drewnianej skrzyni, której ściany były tak znakomicie zachowane i tak

<sup>21</sup>cal — anglosaska miara długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

przedziwnie twarde, iż zapewne musiała być kiedyś impregnowana jakimś rozczynem mineralnym — prawdopodobnie dwuchlorkiem rtęci. Skrzynia ta miała trzy i pół stopy głębokości. Umocniono ją silnymi wstęgami z kowanego żelaza, które tworzyły jakby kratę pospajaną na skrzyżowaniach nitami. Po obu jej stronach, bliżej wieka, znajdowały się po trzy żelazne pierścienie — było ich zatem sześć — przy pomocy których skrzynię mogło podźwignąć sześć osób. Dołożywszy wszystkich sił, zdołaliśmy zaledwie poruszyć ją nieco w łożysku. Przekonaliśmy się rychło, iż żadną miarą nie sprostamy takiemu ogromnemu ciężarowi. Na szczęście, wieko przytrzymały tylko dwa rygle. Oderwaliśmy je, drżąc i dysząc z uniesienia. Mignął przed nami skarb nieocenionej wartości. Gdy światło latarni rozwidniło nieco jamę, olśniła nasze oczy promienista roztecz nagromadzonego bezładnie złota i klejnotów.

Nie zdołam wysławić wrażeń, jakich doznałem na ten widok. Oczywiście górowało nad wszystkimi osłupienie. Legrand był widocznie wyczerpany nadmiarem wzruszeń i prawie się nie odzywał. Twarz Jupitera powlokła się na chwilę taką śmiertelną bladocią, jakiej nie widywałem jeszcze u Murzyna. Skamieniał i wyglądał jak spiorunowany. Potem rzucił się w jamie na kolana i zanurzył obnażone ramiona aż po łokcie w złocie, jakby lubując się rozkoszą kąpieli. W końcu z głębokim westchnieniem zawołał, niby przemawiając do siebie:

— A wszystko to zrobił ten złoty chrzążecz, mój śliczny, złoty chrzążecz! Mój biedny, złoty chrzążecz, którego przeklinałem i obmawiałem! Czy nie wstyd ci, Murzynie? Powiedz sam!

Ostatecznie nie było innego sposobu, jak wezwać do opamiętania pana i służącego, i zwrócić im uwagę, iż należałoby zebrać się co rychlej do uprzątnięcia skarbu. Pora była już późna i wypadło się spieszyć, jeżeli mieliśmy wszystko poznać przed świtem do domu. Niełatwo przyszło nam zdać sobie sprawę z tego, co należało uczynić i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na naradach — do tego stopnia nie mogliśmy zebrać myśli. Wreszcie postanowiliśmy wyjąć ze skrzyni dwie trzecie zawartości, ażeby była lżejsza, i dopiero wówczas udało się nam, acz nie bez trudu, wydzwignąć ją z jamy. Przedmioty wyjęte poprzednio ukryliśmy w krzakach i pozostawiliśmy przy nich na straży psa, któremu Jupiter nakazał surowo, by pod żadnym pozorem nie oddalał się z miejsca i nie ważył się otwierać pyska aż do naszego powrotu. Po czym podążyliśmy pospiesznie ze skrzynią do domu; przybyliśmy do chaty bez przygód, lecz znużeni niesłychanie, o pierwszej w nocy. Zmęczenie nasze przewyższało ludzkie siły, więc niepodobna było myśleć o natychmiastowym powrocie. Pozostaliśmy przeto do drugiej i spożyliśmy wieczerzę. Wnet potem szliśmy znowu ku wzgórzom, zaopatrzeni w trzy spore worki, które, na szczęście, znaleźliśmy w chacie. Na kilka minut przed czwartą stanęliśmy na miejscu, podzieliiliśmy między siebie możliwie równo resztę łupu i nie zasypawszy jam, wyruszyliśmy z powrotem do siedziby Legranda, gdzie złożyliśmy po raz wtóry swe drogocenne brzemiona, kiedy już pierwsze nikłe smugi brzasku jęły się jarzyć nad drzewami od wschodu.

Byliśmy doszczętnie wyczerpani, lecz przemożne podniecenie nie pozwoliło nam na dłuższy spoczynek. Po niespokojnej kilkugodzinnej drzemce pozrywaliśmy się jak umówieni i przystąpiliśmy do obejrzenia naszych skarbów.

Skrzynia była napełniona po brzegi; potrzeba było całego dnia i znacznej części następnej nocy, by rozejrzeć się w jej zawartości. Nie było w niej ładu ni składu. Widać wrzucono do niej wszystko, nie dbając o porządek. Podzieliliśmy zatem różne przedmioty wedle ich jakości i przekonaliśmy się, że weszliśmy w posiadanie znacznie większego skarbu, niż nam się początkowo zdawało. Same monety przedstawiały wartość przeszło czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów — a oceniliśmy je możliwie dokładnie wedle bieżących kursów giełdowych. Nie było wśród nich ani odrobiny srebra. Wyłącznie złoto bardzo starożytne i nader rozmaite: pieniądze francuskie, hiszpańskie i niemieckie, trochę gwinej angielskich, jako też kilka liczmanów, jakich dotychczas nikt z nas nie widział. Znaleźliśmy także kilka monet bardzo wielkich i ciężkich, lecz tak już uszkodzonych, że nie mogliśmy odczytać napisów. Pieniądzy amerykańskich nie było wcale. Trudniej przyszło nam oznaczyć wartość drogich kamieni. Naliczyliśmy sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspaniałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirow i wreszcie jeden opal. Wszystkie te kamienie wylamano z opraw i wrzucono bezładnie

do skrzyni. Oprawy znaleźliśmy oddzielnie wśród innych złotych przedmiotów, lecz pogruhotane młotem, jakby z rozmysłem, by nikt ich nie rozpoznał. Ponadto było tam niesłychane mnóstwo szczerozłotych klejnotów; blisko dwieście kosztownych pierścieni i kolczyków, trzydzieści — jak mi się zdaje — wspaniałych łańcuchów; osiemdziesiąt trzy nadzwyczaj wielkie i ciężkie krucyfiksy; pięć złotych kadzielnic nadzwyczajnej wartości; ogromna, złota waza ponczowa, szczerze ozdobiona misternie cyzelowanymi liśćmi winnymi i korowodem bachantek<sup>23</sup>; dwie przedziwne rzeźbione rękojeści mieczów tudzież bardzo wiele innych, drobniejszych przedmiotów, których już nie pamiętam. Waga tych kosztowności wynosiła przeszło trzysta pięćdziesiąt funtów<sup>24</sup>, nie wliczając do nich trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu drogocennych złotych zegarków, z których trzy były warte co najmniej po pięćset dolarów. Niektóre z nich były nader starożytne i jako czasomierze nie nadawały się już do użytku, gdyż mechanizmy ich ucierpiały wielce od rdzy — ale wszystkie były szczerze ozdobione drogimi kamieniami i mieściły się w ogromnie cennych kopertach. Całą zawartość skrzyni oceniliśmy tej nocy na półtora miliona dolarów; wszelako później, gdyśmy jeszcze raz przejrzeni wszystkie kosztowności i klejnoty, przekonaaliśmy się, o ile nie doceniliśmy wartości naszego skarbu, aczkolwiek niektóre przedmioty przeznaczyliśmy oddzielnie do własnego użytku.

Przyszedł wreszcie czas, że ukończyliśmy obliczenia i że niezmierne nasze podniecenie nieco się ukoilo. Legrand widział, że umieram z niecierpliwości, szukając rozwiązania tej zdumiewającej zagadki, i wyjaśnił mi ją szczegółowo wraz ze wszystkimi okolicznościami.

— Pamiętasz — mówił — ów wieczór, kiedy podałem ci pobieżnie nakreślony szkic, który miał przedstawiać żuka. I przypominasz sobie zapewne, iż po prostu uraził mnie opór, z jakim utrzymywałeś, że mój rysunek przypomina trupią głowę. Gdyś to powiedział po raz pierwszy, sądziłem, że żartujesz; lecz potem przyszedł mi na myśl osobliwe cętki na odwłoku chrząszcza i wydało mi się, że twoje spostrzeżenie jest poniekąd uzasadnione. Mimo to twe kpiny z mych zdolności graficznych rozdrażniły mnie — gdyż uchodzę za dobrego rysownika — i dlatego, gdyś mi podał ów pergaminowy świstek, chciałem ze złości zmiąć go i rzucić w ogień.

— Ale to chodziło o papierowy świstek — odezwałem się.

— Nie; miał on wygląd papieru i zrazu uważałem go za papier, ale kiedy zacząłem na nim rysować, przekonałem się, że mam do czynienia z kawałkiem bardzo cienkiego pergaminu. Jak wiesz, był on bardzo brudny. Otóż kiedy miałem już go zmiąć, spojrzałem na szkic, który oglądałeś przede mną, i wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem istotnie rysunek trupiej głowy na tym samym miejscu, gdzie — jak mi się zdawało — naszkicowałem owada. Przez chwilę nie mogłem się opamiętać i skupić myśli. Wiedziałem, iż mój rysunek różnił się wielce w szczegółach od tego, na który patrzyłem, aczkolwiek było niejaki podobieństwo w najogólniejszych zarysach. Wziąłem tedy świecę i usiadłszy w najdalszym kącie izby, zabrałem się do ściślejszego zbadania pergaminu. Odwróciwszy go, ujrzałem swój szkic na przeciwnej stronie, na pewno ten sam. Pierwsze moje wrażenie streszczało się wyłącznie w zdumieniu nad istotnie zastanawiającym podobieństwem konturów, jako też nad szczególnym zbiegiem okoliczności, że po drugiej stronie pergaminu mogła widnieć nieznana mi czaszka, tuż pod moją podobizną żuka, i że ta czaszka nie tylko konturem, ale także rozmiarem mogła tak bardzo upodobnić się do mojego rysunku. Jak już powiedziałem, ten osobliwy zbieg okoliczności wprawił mnie na jakiś czas w osłupienie. Jest to zwykle w takich razach zjawisko. Umysł sili się, by wykazać związek, mianowicie łączność przyczyny i skutku, i nie mogąc temu podołać, ulega jakby chwilowemu obezwładnieniu. Otrząsnąwszy się jednak z tego bezwładu, jąłem stopniowo nabierać przeświadczenia, które przeniknęło mnie nierównie silniej niż ów zbieg okoliczności. Uprzytomniłem sobie bowiem dokładnie i szczegółowo, że na pergaminie nie było ani śladu jakiegokolwiek rysunku, gdy przystępowałem do szkicowania żuka. Nabierałem pewności, że tak było istotnie, gdyż przypominałem sobie, że spojrzałem najpierw na jedną stronę, a potem na drugą, szukając możliwie najczystszej miejsca. Gdyby podówczas widniała tam czaszka, byłbym na pewno ją zauważył. Była w tym doprawdy jakaś zagadka, ale czułem, że nie podołam jej rozwiązaniu; wszelako już wówczas, w tej wczesnej chwili

<sup>23</sup>*bachantka* (mit. gr.) — nimfa z orszaku boga wina Dionizosa (Bakchosa). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*funt* — anglosaska jednostka wagi równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

li, w najodleglejszych i najtajniejszych skrytkach mojego umysłu zamigotało nikle, na podobieństwo robaczka świętojańskiego, poczucie tej prawdy, która w przygodach ubiegłej nocy znalazła takie świetne potwierdzenie. Zerwałem się nagle z miejsca i chowając starannie pergamin, odłożyłem dalsze rozmyślenia do czasu zupełnej samotności.

Po twym odejściu, kiedy Jupiter usnął jak zabity, zabrałem się do metodycznego rozpatrzenia tej sprawy. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę, w jaki sposób wszedłem w posiadanie owego pergaminu. Miejsce, gdzie dostrzegliśmy żuka, znajdowało się na wybrzeżu stałego lądu, o jakąś milę na zachód od wyspy i bardzo blisko od granicy najwyższego przyływu morza. Kiedy sięgnąłem po niego, ugryzł mnie mocno i musiałem wypuścić go z ręki. Jupiter ze swą zwykłą ostrożnością, zanim przystąpił do schwytania uciekającego przed nami owada, obejrzał się za liściem lub czymś podobnym, przez co byłoby można go ująć. Otóż w tej chwili ujrzeliśmy obaj równocześnie ów skrawek pergaminu, który zresztą wydał mi się papierem. Był on na pół zagrzebany w piasku i wystawał z niego tylko jednym rożkiem. Opodał od miejsca, gdzie go znaleźliśmy, zauważyłem szczątki kadłuba, który kiedyś był zapewne częścią wielkiej okrętowej łodzi. Ten gruchot, jak mi się zdawało, musiał tam leżeć już od dawna, gdyż niełatwo dawało się w nim dostrzec podobieństwo do wiązania łodzi.

Jupiter podniósł tedy pergamin, owinął węń chrząszcza i podał mi go. Wnet potem szliśmy z powrotem do domu i spotkaliśmy po drodze porucznika G. Pokazałem mu owada, on zaś poprosił mnie, żebym mu pozwolił wziąć go ze sobą do fortu. Kiedy się zgodziłem, włożył go natychmiast do kieszonki swej kamizelki bez pergaminu, w który zawinąłem żuka i którego przez cały czas naszej rozmowy nie wypuszczałem z ręki. Być może, iż obawiał się, bym nie zmienił zdania i sądził, że najlepiej będzie wejść od razu w posiadanie zdobyczy — wiesz przecie, jak on się zapala do wszystkiego, co pozostaje w związku z wiedzą przyrodniczą. Równocześnie widocznie musiałem bezwiednie włożyć pergamin do kieszeni.

Może pamiętasz jeszcze, że kiedy usiadłem przy stole, by narysować żuka, nie znalazłem papieru na zwykłym miejscu. Zajrzałem do szuflady, ale i tam go nie było. Przeszukiwałem kieszenie, by znaleźć jakiś beużyteczny list, i wtedy nawinął mi się pod rękę pergamin. Rozwodzę się tak szczegółowo nad sposobem, w jaki wszedłem w jego posiadanie, gdyż te okoliczności wywarły na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Pomyślisz sobie zapewne, żem narwaniec, lecz zdążyłem już dopatrzeć się pewnego związku. Spoilem dwa ogniwa wielkiego łańcucha. Na brzegu morskim leżała łódź, a opodał od niej ten pergamin — nie papier! — z rysunkiem przedstawiającym czaszkę. Oczywiście spytasz: gdzie jest ten związek? Odpowiem na to, że czaszka, czyli trupia głowa, jest powszechnie znanym godłem korsarzy. Podczas swych wypraw wywieszali oni zawsze flagę z trupią głową.

Wspomniałem już, że ów świstek był z pergaminu, nie z papieru. Pergamin jest bardzo trwały — niemal niezniszczalny. Rzeczy mniejszej wagi rzadko powierzano pergaminowi, ile że do zwykłego pisania czy rysowania nadaje się on o wiele mniej od papieru. Ta refleksja poddała mi myśl, że trupia głowa nie może być bez znaczenia. Zwróciłem również uwagę na kształt pergaminu. Wprawdzie jeden z jego rogów uległ, skutkiem jakiegoś wypadku, zniszczeniu, mimo to widziało się od razu, że jego pierwotny format musiał być podłużny. Był to zatem kształt karty, jakiej używano ongi do dokumentów — do upamiętnienia czegoś, co jest bardzo ważne i winno być troskliwie przechowywane.

— Ależ — przerwałem — powiedziałaś, że czaszki nie było na pergaminie, kiedy zaczynałeś rysować żuka. Jakże mogłeś dopatrywać się związku między czaszką i łodzią, skoro, jak sam twierdzisz, pojawiła się ona (Bóg tylko wie, w jaki sposób i za czyją sprawą!) dopiero w jakiś czas potem, gdy twój szkic był już ukończony?

— Ach, to właśnie jest osiłą całej tajemnicy, aczkolwiek ten zagadkowy szczegół nie nastęrczał mi przy rozwiązaniu większych trudności. Mój pochód był pewny i zmierzał wprost do celu. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób: Kiedy rysowałem żuka, czaszki na pergaminie nie było. Ukończywszy rysunek, podałem ci go i nie spuszczałem cię z oka do chwili, gdy mi go zwróciłeś. Zatem ty nie narysowałeś czaszki i nie było tam nikogo innego, kto by mógł ją narysować. Nie powstała więc za ludzką przyczyną. A jednak, mimo wszystko, istniała.

Dotarłszy w mych rozumowaniach do tego punktu, starałem sobie przypomnieć i z całą dokładnością przypominałem sobie istotnie wszystko, co zaszło w tym czasie. Było chłodno (co za niezwykły i szczęśliwy wypadek!) i na kominku płonął ogień. Byłem zgrzany po wycieczce i usiadłem przy stole. Ty natomiast przysunąłeś sobie krzesło aż do samego ogniska. Kiedy podałem ci pergamin i kiedy jąłeś go oglądać, wpadł do pokoju mój nowofundlandczyk, Wilk, i wsparł ci się łapami na ramionach. Lewą ręką głaskałeś i odpychałeś go równocześnie, natomiast prawą rękę, w której trzymałeś pergamin, opuściłeś niedbale na kolana, bezpośrednio w pobliżu ognia. Była chwila, kiedy mi się zdawało, że pergamin zajmie się od płomienia, i chciałem cię przestrzec, lecz zanim zdążyłem się odezwać, już cofnąłeś rękę i zabrałeś się do oglądania rysunku. Rozważywszy wszystkie te okoliczności, doszedłem natychmiast do przekonania, że gorąco było tym czynnikiem, który wywołał na pergaminie ową czaszkę. Wiesz dobrze, iż istnieją obecnie i że zawsze istniały odczynniki chemiczne, za pomocą których można pisać na papierze lub welinie w ten sposób, iż nakreślone litery występują na jaw dopiero pod działaniem silniejszego ciepła. Używano w tym celu niekiedy szafranu, rozczynionego w aqua regia<sup>25</sup> i rozpuszczonego następnie w cztery razy większej ilości wody; otrzymywano tym sposobem atrament zielony. Sól kobaltowa, rozpuszczona w spirytusie saletrowym, daje atrament czerwony. Barwy te zanikają po pewnym czasie, gdy materiał, na którym nimi pisano, ulegnie oziębieniu, i ukazują się znowu po ponownym zastosowaniu ciepła.

Poddałem z kolei trupią głowę drobiazgowemu badaniu. Zewnętrzne jej zarysy — to znaczy zarysy bliższe krańców welinu — były znaczne wyraźniejsze niż inne kreski. Z tego wywnioskowałem, że działanie ciepła było albo niezupełne, albo też niejednostajne. Zapaliłem niezwłocznie ogień i ogrzałem mocno całą powierzchnię pergaminu. Jedynym na razie następstwem było wzmocnienie się nikłych linii czaszki; powtarzając jednak tę próbę, dostrzegłem wreszcie w kącie owego świstka, wprost naprzeciw miejsca, gdzie widniała trupia głowa, coś, co w pierwszej chwili wydało mi się rysunkiem kozy. Po dokładniejszym jednakże obejrzeniu przekonałem się, że miało to przedstawiać koźlą.

— Ha, ha! — odezwałem się. — Nie mam doprawdy prawa natrzasać się z ciebie — półtora miliona dolarów to nie kpiny! Ale coś mi się zdaje, że nie uda ci się włączyć trzeciego ogniwa do twego łańcucha; bo czyż zdołasz wykazać, że istnieje jakiś szczególniejszy związek między twymi korsarzami a kozą? Korsarze, jak wiesz, nie mają nic wspólnego z kozami, które należą do dziedziny gospodarstwa wiejskiego.

— Ależ powiedziałem ci, że ów rysunek nie przedstawiał kozy!

— Zatem koźlą — to na jedno wychodzi.

— Owszem, wychodzi, ale nie zawsze — odparł Legrand. — Może obilo ci się o uszy nazwisko niejakiego kapitana Kidda<sup>26</sup>? Otóż rysunek tego zwierzęcia wydał mi się od razu rodzajem logograficznego lub hieroglificznego podpisu. Powiadam: podpisu, bowiem znajdował się na welinie w takim miejscu, że nasunęła mi się ta myśl. Trupia czaszka umieszczona w przeciwnym rogu z tego samego względu wywoływała wrażenie pieczęci czy godła. Ale było mi markotno, że nie mogłem znaleźć reszty — mianowicie treści dokumentu, który sobie wyobraziłem — tekstu, zgodnego z moją myślą.

— Przypuszczam, iż spodziewałeś się jakiegoś pisma między godłem a podpisem.

— Czegoś podobnego. To pewne, iż nieodparcie przenikało mnie przecucie jakiegoś zbliżającego się, niezmiernego szczęścia. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego. Być może zresztą, iż było to raczej pragnienie niż istotna wiara; lecz czybyś uwierzył, że niedorzeczna gadanina Jupitera, jakoby ów żuk był szczerzoty, oddziałała silnie na moją wyobraźnię? A potem to całe mnóstwo przypadków i zgodnych okoliczności, czyż nie było naprawdę nadzwyczajne? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece było to przypadkiem, że wszystko to przydarzyło się właśnie w tym jednym dniu całego roku, kiedy było lub mogło być dość chłodno, by trzeba było zapalić na kominku, i że bez ognia tudzież bez udziału psa właśnie w tej chwili, kiedy wpadł do izby, nigdy nie byłbym dostrzegł trupiej czaszki i co za tym idzie, nigdy nie byłbym posiadał owych skarbów?

— Mówże dalej! Czekam niecierpliwie.

<sup>25</sup>*aqua regia* (łac.) — woda królewska: mieszanina stężonego kwasu solnego i azotowego. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*kid* — po angielsku: koźlą. [przypis tłumacza]

— No dobrze. Oczywiście musiało obić ci się o uszy mnóstwo rozpowszechnionych pogłosek — tysiące niejasnych wieści krążących o skarbach zakopanych gdzieś na wybrzeżu atlantyckim przez Kidda i jego towarzyszy. Te pogłoski musiały doprawdy opierać się na rzeczywistości. Istniały one od tak dawna i powtarzały się tak uporczywie, iż nie mogłem tłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko tą okolicznością, że zakopane skarby wciąż jeszcze spoczywały w ziemi. Gdyby Kidd był ukrył swe łupy tylko na jakiś czas i później je wydobyl, pogłoski te nie docierałyby do nas w bieżącej, niezmięnionej formie. Może zdarzyło ci się zauważyć, że tego rodzaju opowieści mówią zawsze o ludziach, którzy szukają skarbów, nigdy zaś o tych, którzy je znajdują. Gdyby korsarz był odzyskał swe mienie, sprawa ta byłaby przycichła. Mnie się zdaje, że jakiś wypadek — powiedzmy, utrata dokumentu, który wskazywał miejsce, gdzie je ukryto — uniemożliwiła mu wydobycie skarbu. Sądzę również, że o tym wypadku doszły słuchy do jego towarzyszy, którzy w przeciwnym razie nic w ogóle nie wiedzieliby o zakopanych kosztownościach, i że to oni po nadaremnych, bo pozbawionych wskazówek poszukiwaniach, najpierw skrycie, a potem zupełnie jawnie jęli rozpowszechniać wieści, znajdujące się obecnie w obiegu. Czy słyszałeś już kiedyś o jakimś wielkim skarbie wykopanym na wybrzeżu?

— Nie, nigdy.

— Otóż wiadomo powszechnie, że bogactwa Kidda były ogromne. Dlatego wydawało mi się rzeczą pewną, iż spoczywają jeszcze w ziemi; i nie zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że żywiłem nadzieję, spotęgowaną niemal do zupełnego przeświadczeni, iż ów w tak osobliwy sposób znaleziony pergamin zawiera zaginione wskazówki o miejscu, gdzie te bogactwa ukryto.

— Cóż więc zrobiłeś dalej?

— Ogrzewałem welin coraz silniej nad ogniem, ale nic się nie ukazało. Pomyślałem sobie zatem, iż kto wie, czy przyczyną tego niepowodzenia nie jest powłoka brudu; oplukalem więc pergamin starannie, polewając go ciepłą wodą, a potem włożyłem do cynowego rondla, czaszką na dół, i postawiłem rondel na piecu, w którym napaliłem węglem drzewnym. Po kilku minutach, kiedy rondel dobrze się rozgrzał, wyjąłem ów świstek i przekonałem się ku nieopisanej swej radości, że w kilku miejscach wystąpiły na nim plamki, które wydawały mi się znakami, połączonymi w rzędkie. Włożyłem go znów do rondla na parę minut. Po wyjęciu zobaczyłem już wszystko i zaraz ci to pokażę.

Po tych słowach Legrand ogrzał na nowo pergamin i podał mi go do obejrzenia. Między trupią czaszką a koźlęciem ujrzałem następujące znaki, nakreślone nieudolnie czerwonym atramentem:

53†††305))6\*;4826)4†.)4†;806\*;48†8†160))85;1†(:;†\*8†83(88)5\*†;46(;88\*96\*?:8)\*†(;485);5\*†2.\*†(;4956\*2(5\*-  
-4)8†18\*;4069285);) 6†8)4††;1(†9;48081;8:8†1;48†85;4)485†528806\*81(†9;48;(88;4(†?34;48)4†;161;188;†?;

— Mój drogi — rzekłem, oddając mu świstek — wciąż jeszcze jestem jak tabaka w rogu. Gdybym w zamian za rozwiązanie tej zagadki miał posiąść wszystkie skarby Goldkondy<sup>27</sup>, nie zdołałbym na pewno dokazać tego.

— A jednak — odpowiedział Legrand — rozwiązanie to bynajmniej nie jest tak trudne, jak mogłoby się wydawać po pierwszym, pobieżnym obejrzeniu tych znaków. Te znaki, jak łatwo się domyślić, są szyfrem, to jest, mają pewne znaczenie; wszelako z tego, co wiem o Kiddzie, nie sądzę, żeby był zdolny do obmyślenia zawilszych kryptogramów. Od razu przyszło mi na myśl, że muszą być nader proste — oczywiście, w tej mierze, iż nieokrzesany umysł marynarza bez pomocy klucza przenigdy nie zdoła ich rozwiązać.

— A czy ty je istotnie odczytałeś?

— Z łatwością; odczytywałem już inne, tysiąc razy zawilsze. Okoliczności, a także pewna skłonność umysłu sprawiły, iż zajmowałem się podobnymi łamigłówkami, i wątpię bardzo, czy bystrość ludzka może obmyślić taką zagadkę, której przenikliwość innego człowieka przy pomocy odpowiednich sposobów rozwiązać by nie mogła. Skoro więc powiodło mi się wykryć czytelne i połączone ze sobą znaki, nie myślałem już wcale o trudnościach, jakie nastęrczały się przy ich odczytaniu.

<sup>27</sup> *Golkonda* — twierdza w Indiach, położona w pobliżu kopalni diamentów; w XVI–XVII w. kwitnący ośrodek handlu diamentami i biżuterią; zyskała legendarną sławę królestwa niezmiernych bogactw i skarbów. [przypis edytorski]



W danym wypadku — podobnie zresztą jak wszędzie, gdzie chodzi o pismo tajemne — pierwszym zagadnieniem jest język szyfru, ponieważ zasady rozwiązania, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z mniej zawiłymi szyframi, pozostają w związku i mogą ulegać zmianom zależnie od ducha tego języka. Na ogół nie ma innego sposobu, jak kierując się możliwościami, próbować po kolei wszystkich znanych języków, aż znajdzie się ten, o który chodzi. W szyfrze, który mamy przed sobą, podpis usuwa wszelkie trudności. Łamigłówka ze słowa „Kidd” jest możliwa tylko w języku angielskim. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym rozpoczął poszukiwania od hiszpańskiego i francuskiego, gdyż korsarz rozbijający na wodach hiszpańskich napisałby oczywiście swą tajemnicę w jednym z tych dwu języków. Wyszedłem jednak z założenia, że kryptogram ten jest angielski.

Jak widzisz, nie ma w nim odstępów między słowami. Gdyby one były, zadanie byłoby bez porównania łatwiejsze. Byłbym zaczął w takim razie od zestawienia i rozbioru krótszych słów, a napotkawszy słowo o jednej tylko literze, na przykład „a” lub „I”<sup>28</sup>, byłbym uważał rozwiązanie za rzecz pewną. Ponieważ odstępów nie ma, zacząłem od oznaczenia głosek, zarówno tych, które powtarzają się najczęściej, jak też tych, które najrzadziej. Zliczywszy wszystkie, zestawilem następującą tablicę:

Znak 8	powtarza się	33 razy
;	”	26
4	”	19
‡ )	”	16
	”	13
5	”	12
6	”	11
† 1	”	8
o	”	6
9 2	”	5
: 3	”	4
?	”	3
¶	”	2
- .	”	1

Otóż w języku angielskim spotyka się najczęściej głoskę „e”. Po niej następują z kolei: „a o i d h n r s t u y c f g l m w b k p q x z”. „E” ma taką przewagę, iż trudno jest znaleźć jakiś dłuższy zwrot, gdzie by go nie było.

Od samego więc początku mamy zasadę, która nadaje się do czegoś więcej niżli tylko do płonnych przypuszczeń. Powszechny użytek, jaki można mieć z tej tablicy, jest widoczny, wszelako w szczególności przy tym szyfrze będzie nam ona niezbyt pomocna. Ponieważ przeważa wśród nich 8, przeto zaczniemy od przypuszczenia, że jest to „e” naturalnego abecadła. By sprawdzić to przypuszczenie, zobaczymy, jak często znak 8 spotyka się parami — gdyż „e” nader często podwaja się w języku angielskim, w takich słowach, jak na przykład: *meet, feet, speed, seen, been, agree* itd. W danym wypadku podwaja się ono aż pięć razy, aczkolwiek cały kryptogram jest krótki.

Przyjmijmy zatem, że 8 oznacza „e”. Ze wszystkich słów w języku angielskim najczęściej używa się „the”; zobaczymy przeto, czy nie uda nam się znaleźć kilkakrotnie powtórzonego zestawienia trzech znaków, z których 8 będzie na końcu. Jeśli spotkamy kilkakrotnie takie zestawienie znaków, to nader prawdopodobnie będzie to oznaczało słowo „the”. Przeglądając kryptogram znajdujemy aż siedem takich zestawień, złożonych ze znaków 48. Możemy więc przypuścić, że ; oznacza „t”, 4 oznacza „h”, a 8 oznacza „e” — przy czym ostatnie znaczenie potwierdza się już stanowczo. Zrobiliśmy przeto krok naprzód.

Oznaczywszy w ten sposób jedno słowo, będziemy mogli z kolei oznaczyć rzecz nader ważną, mianowicie kilka początków i zakończeń innych słów. Weźmy bodaj jeden taki przykład, w którym spotyka się zestawienie ;48 niedaleko od końca szyfru. Wiemy, że

<sup>28</sup> „a” lub „I” — w języku angielskim: a: rodzajnik nieokreślony; I: ja. [przypis tłumacza]

znak ;, który następuje bezpośrednio potem, jest początkiem słowa i że z sześciu znaków, które następują po owym „th”, pięć jest już nam znanych. Zastąpmy teraz te znaki literami, których mają znaczenie, pozostawiając dla nieznanymi wolne miejsce:

t eeth

Od razu możemy odrzucić „th”, jako nie wchodzące w skład słowa, zaczynającego się od pierwszego „t”, gdyż przeglądając cały alfabet w poszukiwaniu litery, którą można by wstawić w owo wolne miejsce, przekonujemy się, iż niepodobna jest utworzyć takiego słowa, w którym to „th” mogłoby stanowić część składową. Ograniczmy się zatem tylko do:

t ee

i przeszukując znów, w razie potrzeby, cały alfabet, dojdziemy do słowa „tree” (drzewo) jako jedyne możliwe rozwiązanie. Uzyskujemy przy tym inną literę, a mianowicie „r”, oznaczone znakiem (, oraz zestawione razem słowa „the tree”.

Nieco dalej spotykamy znów zestawienie ;48 i posługujemy się nim jako zakończeniem tego, co je bezpośrednio poprzedza. Otrzymamy w ten sposób kombinację następującą:

the tree ;4(‡?34 the,

i podstawivszy w miejsce wiadomych znaków odpowiednie litery, odczytujemy:

the tree thr‡?3h the

Jeżeli teraz zamiast znaków nieznanymi pozostawimy wolne miejsca lub wstawimy zamiast nich kropki, to otrzymamy:

the tree thr...h the

przy czym natychmiast przychodzi na myśl słowo „through” (przez).

Odkrycie to zapoznaje nas ponadto z nowymi trzema literami „o”, „u”, „g”, oznaczonymi przez ‡, ? oraz 3.

Szukając dalej w szyfrze zestawień wiadomych znaków, spotykamy niedaleko od początku kombinację taką:

83(88

czyli „egree”, co oczywiście jest zakończeniem słowa „degree” (stopień) i poddaje nam znowu jedną literę, mianowicie „d” oznaczone znakiem ‡.

O cztery litery dalej za słowem „degree” znajdujemy zestawienie:

;46(;88

Przekładając znane znaki i zastępując, jak poprzednio, kropkami znaki nieznanymi, otrzymamy:

th.rtee.

Jest to kombinacja, która natychmiast podsuwa domyślności naszej słowo „thirteen” (trzynaście) i dorzuca nam dwie nowe głoski „i”, „n”, oznaczone 6 i \*.

Wracając następnie do początku kryptogramu, widzimy zestawienie:

53‡‡‡

Przełożywszy je, jak to czyniliśmy poprzednio, dostajemy:

good

co zarazem upewnia nas, że pierwszą literą jest „A” i że dwa pierwsze słowa brzmią: „A good” (dobry).

By uniknąć zamieszania, należałoby teraz zestawić w jedną tablicę nasz klucz, o ile jest już nam znany. Będzie przedstawiała się ona tak:

5	oznacza	a
†	”	d
8	”	e
3	”	g
4	”	h
6	”	i
	”	n
‡	”	o
(	”	r
;	”	t

Mamy już zatem aż dziesięć najważniejszych liter i nie potrzebujemy dalej gromadzić szczegółów, by dotrzeć do rozwiązania. Wykazałem ci dostatecznie, że szyfry tego rodzaju są łatwe do odczytania i zapoznałem cię po trosze z rozumową metodą ich odgadywania. Wiedz jednak, iż okaz, który mamy przed sobą, należy do najłatwiejszego rodzaju kryptogramów. Pozostaje mi tylko dać ci zupełny przekład znaków, widniejących na pergaminie, jakby były już rozwiązane. Brzmi on, jak następuje:

*A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat forty-one degrees and thirteen minutes northeast and by north main branch seventh limb east side shoot from the left eye of the death's-head a bee line from the tree through the shot fifty feet out.*

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut północno-zachód i na północ główny pień siódmy konar od zachodu spuścić z lewego oka trupiej czaszki linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

— Ależ — rzekłem — ta łamigłówka jest mi jeszcze tak samo niejasna jak poprzednio. Bo czyż można dorozumieć się czegoś tego galimatiasu, z tych „diablich siedzeń”, „trupich głów” i „biskupich hotelów”?

— Przyznaję — odrzekł Legrand — że na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jeszcze dość zawile. Toteż pierwszym moim staraniem było dokonać naturalnego rozdziału zdań, zgodnie z zamierzeniami tego, kto je układał.

— To znaczy położyć znaki pisarskie, nieprawdaż?

— Coś w tym rodzaju.

— W jakiż sposób można to zrobić?

— Pomyślałem sobie, że piszący umyślnie zaniedbał podziału na zdania, by utrudnić rozwiązanie. Wszelako człowiek niewyposażony nadzwyczajną bystrością, który podejmie się takiego zadania, na pewno popadnie w przesadę. Kiedy bowiem układając swój kryptogram, dojdzie do przerwy w zdaniach, która z natury rzeczy wymagałaby kropki lub pauzy, wówczas nie zdoła oprzeć się pokusie, by właśnie w tym miejscu nie skupić swych znaków gęściej niż zazwyczaj. Obejrzyj rękopis, o którym mówimy, a z łatwością znajdziesz aż pięć takich objawów niezwykle nagromadzenia. Powodując się tą wskazówką, dokonałem podziału w następujący sposób:

*A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat — forty-one degrees and thirteen minutes — northeast and by north — main branch seventh limb east side — shoot from the left eye of the death's-head — a bee line from the tree through the shot fifty feet out.*

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła — czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut — północno-zachód i na północ — główny pień siódmy konar od zachodu — spuścić z lewego oka trupiej czaszki — linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

— Nawet przy tym podziale — odezwałem się — wciąż jeszcze nic nie wiem.

— Ja także nic nie wiedziałem — odrzekł Legrand — ale tylko przez kilka dni. Spędziłem je na skrzętnych poszukiwaniach w okolicy Wyspy Sullivana, wywiadując się o budynek, który by nosił nazwę Bishop's Hotel (hotel biskupi), gdyż oczywiście nie dałem się stropić przestarzałemu słowu *hostel*<sup>29</sup>. Nie dowiedziawszy się niczego, zamierza-

<sup>29</sup>*hostel* (ang.) — dawna pisownia słowa hotel. [przypis tłumacza]

lem już rozszerzyć zakres moich poszukiwań i prowadzić je nadal bardzo systematycznie, gdy pewnego poranku strzeliło mi nagle do głowy, że ten Bishop's Hostel może pozostawać w związku ze starożytną rodziną Bessopów, która w zamierzonych czasach posiadała odwieczne zamczysko o cztery mile na północ od wyspy. Udałem się więc na plantację i jałem wypytywać najstarszych z okolicznych Murzynów. W końcu pewna sędziwa starszka powiedziała mi, że słyszała o miejscu zwanym Bessop's Castel (zamek Bessopa) i że mogłaby mnie tam zaprowadzić, lecz że nie jest to zamek ani gospoda, ale wysoka skała.

Obiecałem, że ją hojnie wynagrodzę, więc po chwili namysłu podjęła się być moją przewodniczką. Dotarliśmy na miejsce bez trudu. Odprawiłem babinę i zacząłem się rozglądać. „Zamek” składał się z bezładnego nagromadzenia wiszarów i skał, z których jedna wyróżniała się wielce zarówno swą wysokością, jak swym odosobnieniem i jak gdyby sztucznym wyglądem. Wspiąłem się na jej szczyt i byłem bardzo zakłopotany, co należy dalej czynić.

Kiedy pograżyłem się w myślach, oczy moje padły na wąski brzeżek u wschodniego zbocza skały, położony o jakiś jard poniżej wierzchołka, na którym stałem.

Brzeżek ten sterczał zaledwie na osiemnaście cali i miał niespełna stopę szerokości, zaś wnęka w wiszarze, która widniała tuż ponad nim, czyniła go poniekąd podobnym do owych krzesel z wygłębionym oparciem, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że jest to owo „siedzenie diabła”, o którym znajdowała się wzmianka w rękopisie, i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że uda mi się w zupełności rozwiązać tę zawiłą łamigłówkę.

Wiedziałem, iż przez „dobre szkła” należy rozumieć tylko lunetę, gdyż marynarze rzadko kiedy używają słowa „szkła” w innym znaczeniu. Zdałem sobie natychmiast sprawę, iż trzeba będzie uciec się do pomocy lunety i posłużyć się nią z pewnego ściśle określonego punktu, niedopuszczającego żadnego odchylenia. Nie powątpiewałem również, iż zwroty: „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” jako też „północno-zachód i na północ” są wskazówkami, jak należy skierować lunetę. Podniecony niezmiernie tymi odkryciami, pospieszyłem do domu, postarałem się o lunetę i powróciłem z nią na skałę.

Zsunąłem się po niej na ów brzeżek i przekonałem się, że można tam usiąść tylko w pewnej określonej pozycji. Ta okoliczność potwierdziła moje poprzednie przypuszczenia. Zabrałem się z kolei do lunety. Słowa „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” mogły, oczywiście, odnosić się tylko do kąta pochylenia nad widnokretem, natomiast kierunek poziomy wyraźnie podawała wzmianka „północno-zachód i na północ”. Oznaczyłem ten kierunek za pomocą kompasu kieszonkowego, następnie ustawiłem moją lunetę możliwie najdokładniej w nachyleniu czterdziestu jeden stopni i dopóty poruszałem nią ostrożnie w górę i w dół, aż dostrzegłem kolisty otwór, jakby okienko w listowiu wielkiego drzewa, które górowało w oddali nad wszystkimi innymi. W środku tego okienka zauważyłem białą plamę, lecz nie mogłem zrazu rozpoznać, co to było. Dopiero nastawiwszy ostrzej soczewkę, przekonałem się, że była to trupia czaszka.

Po tym odkryciu zagadka wydała mi się już rozwiązana, gdyż zwroty „główny pień, siódmy konar, od zachodu” mogły odnosić się tylko do umieszczenia czaszki na drzewie, zaś „spuścić z lewego oka trupiej czaszki” mogło mieć na względzie tylko poszukiwanie zakopanego skarbu. Dorozumiałem się, iż rzecz polega na tym, ażeby z lewego oka czaszki spuścić jakąś gałkę i przeprowadzić linię prostą od najbliższego punktu pnia przez „kulę” (to znaczy, przez miejsce, gdzie owa gałka upadnie), a następnie prowadzić ją dalej na odległość piętnastu stóp i w ten sposób otrzymać określony punkt, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ukryto skarb ów w ziemi.

— Wszystko to — przemówiłem — jest nadzwyczaj jasne i olśniewa swą pomysłowością, zachowując przy tym prostotę i dokładność. Cóż stało się dalej, gdy powróciłeś z Bishop's Hotel?

— Zanim poszedłem do domu, zapamiętałem sobie dokładnie owo drzewo. Było to potrzebne, gdyż zeszedłszy z „diabelskiego siedzenia”, straciłem zaraz owo koliste okienko z oczu i nie mogłem go już dojrzeć z żadnego innego miejsca. Jak mi się zdaje, całe mistrzostwo tej zagadki da się sprowadzić do tej okoliczności, iż okienko to widoczne jest tylko z wąskiego brzeżka u skalnej ściany.

Na wyprawę do „hotelu biskupa” zabrałem ze sobą Jupitera, który zapewne już na kilka tygodni przedtem zauważył moje roztargnienie i dokładał wszelkich starań, żebym nie był sam. Lecz zaraz następnego dnia wstałem bardzo wcześnie, wymknąłem się przed nim po kryjomu i poszedłem na wzgórze, by odszukać owo drzewo. Zmitrężyłem niemało czasu, zanim zdążyłem je znaleźć. Gdy nocą powróciłem do domu, mój służący miał chętkę mnie obić. Co dalej się stało, wiesz również dobrze jak ja sam.

— Sądzę — odezwałem się — iż twoja pomyłka przy pierwszym kopaniu wyniknęła z głupoty Jupitera, który spuścił żuka przez prawe, a nie przez lewe oko czaszki.

— Tak też było istotnie. Błąd ów spowodował różnicę dwóch i pół cala u „kuli” — to znaczy, w miejscu, gdzie tkwił palik, wbity najbliżej od drzewa; gdyby skarb znajdował się tuż pod „kulą”, pomyłka ta nie miałaby znaczenia; jednak ta „kula” wraz z najbliższym punktem pnia były jedynie dwiema wytycznymi kierunku: przeto błąd, aczkolwiek zrazu nieznaczny, powiększał się w miarę przedłużania linii i kiedy przeprowadziliśmy ją na odległość piętnastu stóp, stał się przyczyną nader znacznego odchylenia. Gdyby nie moje głębokie przeświadczenie, że ten skarb musi przecież znajdować się gdzieś w pobliżu, wszystka nasza praca byłaby poszła na marne.

— A ta twoja pompatyczność, te twoje igraszki z żukiem — cóż to było za dziwactwo? Byłem przekonany, że oszalałeś. I dlaczego upierałeś się tak bardzo, żeby z oka czaszki spuścić tego chrząszcza, zamiast użyć do tego jakiejś gałki?

— Mój drogi, wyznam ci szczerze, iż drażniły mnie nieco twe powątpiewania o moim zdrowiu, więc postanowiłem skarcić cię moim zwyczajem spokojnie i obmyśliłem na chłodno tę maleńką mistyfikację. Dlatego wymachiwałem żukiem i kazałem spuścić go z drzewa. Pomysł ten poddało mi twoje spostrzeżenie, że jest bardzo ciężki.

— Rozumiem cię. A teraz jeszcze jedna rzecz, która mnie zaciekawia! Co myślisz o szkieletach, które znaleźliśmy w jamie?

— Na to pytanie nikt z nas nie zdoła odpowiedzieć. Wszelako zdaje mi się, iż dałoby się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób — jakkolwiek moje przypuszczenie jest tak okropne, iż trudno jest w nie uwierzyć. To pewne, że Kidd — oczywiście, jeśli to Kidd zakopywał te skarby, o czym zresztą nie wątpię — otóż to pewne, że musiał mieć pomocników przy pracy. Kiedy jednak była już na ukończeniu, uznał zapewne za rzecz potrzebną pozbyć się swych towarzyszy, którzy znali jego tajemnicę. Być może, iż wystarczyły dwa krzepkie uderzenia motyką, gdy jego pomocnicy byli jeszcze zajęci w dole. A może tych uderzeń trzeba było znacznie więcej — kto to wie?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-zloty-zuk-zloty-zuk/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Złoty żuk*, "Książka i Wiedza", Warszawa 1950.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa pochodzi z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Żuki*, Abbott Handerson Thayer (1849–1921), domena publiczna

ISBN 978-83-288-6723-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.